GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok V — Nr. 12 | Poznań, dnia 27 października 1935 | Cena 20 gr



Jarzenica.

Jeden z naszych Czytelników, podkreślając, że nazwa „sławika" jest obca duchowi języka polskiego, wskazuje na to starosłowiańskie miano jarzenica, będące, jak zaznacza, symbolem wiosny, nowego życia i ładu.

ALEKSANDER ROGALSKI

POCHWAŁA WOJNY

Rzecz niniejszą poświęcam pacyfistom, ale nie pacyfistom - snobom, pacyfistom - wygodnisiom, pacyfistom - leniuchom, ale pacyfistom z krwi i kości, którzy troskę o pokój przeżywają szczerze i którzy nie wahają się stawić czoła wszystkim trudnościom zagadnienia dobra ludzkości, choćby ono było nawet na ludzki sposób — nierozwiązalne.

Konflikt włosko - abisyński uprzystępnił nam w ciągu niedługiego czasu słowo: wojna, a zarazem uwolnił je od złowrogiego bagażu tych uczuć i obrazów, jakie się z niem zwykle kojarzą. Spoufaliliśmy się z tem słowem na dobre i to tem więcej, że nie raz jeden zdołaliśmy wypróbować jego użyteczność, gdy np. potrafiło swym ostrym sokiem użyźnić na chwilę chociażby banalniejącą rozmowę towarzyską, lub gdy dawało sposobność do kpin i złośliwości pod adresem Ligi Narodów, Foreign Office, Mussoliniego lub Negusa. Ta zażyłość, ten pakt ze słowem „wojna" nie dowodzi wszakże, by ludzie się wojny przestali obawiać. Raczej przeciwnie, boją się jej, więc usiłują — może dla odegnania niepokoju, może z przesądu, że przez nadużywanie symbolu osłabi się siłę przedmiotu symbolu — wyjednać u niej przez zażyłość z jej słowem kredyt łagodności. I gdyby tak wojna naprawdę pojawiła się na powierzchni świata, ludzie mocnoby się na niej zawiedli. Przekroczyłaby swoją postacią wszelkie ich wyobrażenia, mimo, że niejedni z nich przeżywali i pamiętają grozę wojny ostatniej. Trudno — odwykli od niej.

Tego im wcale na dobro policzyć nie można, że od niej odwykli. Wojna bowiem jest tak samo udziałem życia ludzkości, jak pokój. Powinniśmy zawsze się z nią liczyć, traktować ją jako rzeczywistość, tembardziej że nie mamy żadnych podstaw, by wierzyć, iż nią kiedykolwiek być przestanie. Niech nam się nie zdaje, że nasza biocenoza psychiczna — że tak się wyrażę — wyłącza całkowicie ze siebie wojnę; mamy w sobie właściwości, które jej zjawisko pozwalają nam całkowicie percypować, w nas samych tkwi klimat wojny zarówno jak klimat twórczego pokoju.

Nie bez znaczenia jest przytem ciśnienie, jakie na klimat wojny w naszym organiźmie psychicznym wywiera siła dziedziczenia pradawnego a wciąż wysubtelnianego instynktu wojny i przystosowalności do jej zjawisk i wpływów. Uważać wojnę jedynie za „przekleństwo rasy ludzkiej", za najgorsze zło na świecie, to nie jest wcale ani takie trudne ani głębokie. Rzecz jasna, że przeciwko innemu, niż negatywne, traktowaniu wojny buntuje się nasze samopoczucie, nasze silne przywarcie do życia razem ze wszystkiemi jego wartościami. Ale czyż to zaprzecza istnieniu jej wartości bezwzględnych na innej płaszczyźnie?

Oto wszyscy wiemy doskonale, że każda choroba jest złem, które mamy obowiązek zwalczać w wszelki sposób. Żeby choroby miały jakiekolwiek zalety, trudno nam w to uwierzyć.

A jednak nauka stwierdza, że mają, i to bardzo poważne.

Zwrócimy uwagę na jeden taki moment, o którym wzmiankuje np. Juljan Huxley („Co śmiem myśleć"): „Z usunięciem choroby znika biologiczna potrzeba odporności, mniej odporni żyją tak długo, jak bardziej odporni, a przeciętna odporność ludności będzie się stopniowo obniżała. A co nastąpi, gdy po kilku stuleciach banicji choroba znowu się ukaże?... Jak ogień w suchej trawie szalałaby wtedy po kraju (choroba), zabijając ludzi dziesiątkami tysięcy". Oto inna płaszczyzna zjawiska, które powszechnie uznaje się za wyłącznie ujemne.

I wojna ma taką swoją płaszczyznę, która nietylko, że niweluje wszelkie jej złe pierwiastki, jej okrucieństwo, jej bezmyślność, jej barbarzyńskie szaleństwo — lecz czyni ją nawet pożądaną. Weźmy przedewszystkiem pod rozwagę regeneratywną funkcję wojny, to, że jest ona takiem potężnem katharsis, generalnem przeczyszczeniem ludzkości. A nigdy może i nikomu w tak wysokim stopniu nie potrzeba było katartycznych przeżyć, jak nam, właścicielom kultury XX-wiecznej. Jesteśmy wszyscy beznadziejnie przytłoczeni fabrykatami naszej cywilizacji, nad nami narósl niebotyk schematów, konwencyj, szablonów, zakłamań. Rozrywają nas na kawałki nie powiązane żadnem spoidłem, żadną „myślą przewodnią" — bożyszcza naszych czasów: tempo, szybkość, postęp, „nowoczesność", amerykanizacja, mechanizacja, higjena, wygoda, niesłychanie skomplikowal się nasz sposób bycia, tak, że w tem wszystkiem straciliśmy jedną najważniejszą orjentację: w jaki sposób odnaleźć drogę do człowieka.

Wyobraźmy sobie teraz, że, gdy tak rzeczy stoją, przychodzi do nas wojna. Cóż czyni przedewszystkiem? Pozbawia nas sztucznego narostu skomplikowań cywilizacji, burzy ów niebotyk, niszczy brutalnie tak kunsztowne produkty naszej kultury, wytrąca nam z ręki to, w czem, oszukując się, upatrywaliśmy własną siłę i znaczenie — w rezultacie pozostawia nas samych sobie, zdanych na laskę własnych namiętności, własnych wartości, własnych instynktów. Okażmy, czem jesteśmy!

Uczony, pędzący ciche życie w pracowni, poza gromadzeniem mozolnem materjałów i ich opracowywaniem nie mający z niczem innem, równie poważnem, do czynienia, zapatrzony w swoją specjalność, zanurzony w bibljografji, w cyfrach, abstrakcjach; technik, pracujący zaciekle nad wynalazkiem, któryby zabijał najsprawniej; człowiek interesów, oddany wyłącznie rzeczywistości pieniądza — ci wszyscy, którzy żyją tak, jakby życie nie było najwyższym darem, łaską, rzeczą bardziej zastanawiającą niż ich zajęcie, którzy uważają je za coś, co „rozumie się samo przez się", wyrwani są przemocą z swego małostkowego, ciasnego spokoju lub równie bezmyślnego ruchu, i odrazu postawieni przed obliczem losu, zagadnieniami życia i śmierci, rzuceni bez protestu w zamęt najpierwotniejszych uczuć. Teraz wyszła na jaw, już nie w połowicznym kształcie, zarówno nasza podłość, jak dobroć, zarówno nasza cnota jak zbrodniczość, zarówno tchórzostwo jak bohaterstwo. Ale wiemy, wiemy wiedzą oślepiającą aż do okrucieństwa, że to wszystko jest serdeczne, prawdziwe, nasze, człowiecze. W straszliwej kośbie śmierci, wśród szczękotu karabinu maszynowego, który co moment tyle ludzkich istnień unicestwia, zdobywa się prawdę o człowieku, doświadcza się jej gorzkiego a zarazem orzeźwiającego smaku. W zgiełkliwej

(Dokończenie na str. 3-ej)

Konsekwencja konsekwentności

Wskazanie naczelne „Głosu", rozpoczynającego jako tygodnik, nową fazę swego istnienia, brzmi: przez rozbudowę i pogłębianie podstaw ideowych ku jednolitości i zwartości Obozu Narodowego. Wskazaniu temu, w miarę swych skromnych możliwości, byliśmy wierni do tej pory i w tym samym kierunku pracować będziemy nadal.

Zamiast szeroko charakteryzować nasze intencje, przytaczamy tu streszczenie jednego z przemówień Romana Dmowskiego, które tak doskonale ujmuje ich istotę, że sami nie potrafilibyśmy tego lepiej wytłumaczyć.

Przemówienie Dmowskiego jeszcze silniej udokumentowuje to, na co zwróciliśmy uwagę w poprzednim numerze naszego pisma, kiedy wyróżnialiśmy chociażby dwa typy nacjonalizmu. (U Dmowskiego „interesy partykularne" i „interesy ogólne", dalej przeciwstawienie faszystów niektórym nacjonalistom włoskim). Uzasadnień naszych twierdzeń z poprzedniego numeru znajdzie czytelnik w przemówieniu cały szereg; jest to zupełnie zrozumiałe wobec tożsamości podstawowych zasad ideowych. W przemówieniu Romana Dmowskiego pozwoliliśmy sobie podkreślić te zwroty, które z naszego punktu widzenia w tym momencie są najważniejsze:

Dmowski mówił:

Miło mi, że się rozumiemy i że młode pokolenie podejmuje pracę dla kierunku wszechpolskiego. Równocześnie jednak muszę wam powiedzieć: **wystrzegajcie się talmudyzmu,** trzymania się tego, co kiedyś zostało napisane. **Musimy ciągle tworzyć, ciągle iść naprzód. Wyprzedzeni przez inne narody, musimy szybko odrabiac braki i doganiać je cywilizacyjnie.**

Ja sam odszedłem już daleko od wielu z pomiędzy tych rzeczy, które niegdyś napisałem. **Cechą naszego obozu jest wogóle ciągłe dążenie naprzód.** Stąd tylu ludzi opuściło nasze szeregi, nie mogąc podążyć za nami i zrozumieć, że nic z tego co stworzył obóz — poza oczywiście podstawowemi zasadami jego ideologji — **nie stanowi martwej formułki, którejby można się nauczyć i nie myśleć dalej. Nas czeka ciągły trud myślenia, odświeżania tego, cośmy powiedzieli, zataczania coraz szerszych kręgów.**

By naprawdę zapewnić narodowi naszemu wielkość i potęgę, musimy interesować się wszystkiem, oraz dążyć do jak największego rozszerzenia kręgu naszych wpływów i interesów. Polska nigdy nie osiągnie stanowiska mocarstwowego, jeśli zajmować się będzie wyłącznie swemi własnemi sprawami i interesami. Nie będzie wielką, jeśli nie będzie się starała wpływać na regulowanie stosunków innych państw.

W czasie konferencji pokojowej podzielono państwa na państwa o **interesach „ogólnych"** i **interesach „partykularnych".** Nawet tak wielkie mocarstwo jak Chiny — chociaż, jak się wyrazil delegat chiński, więcej reprezentowało ludności, niż wszystkie inne państwa na konferencji razem wzięte, — z powodu małego interesowania się sprawami świata było zaliczone do państw o interesach „partykularnych". Najważniejsze sprawy decydowały się bez udziału delegata Chin, oraz delegatów innych państw o interesach „partykularnych".

Polska musi się stać państwem o interesach „ogólnych". Tylko wówczas będzie państwem potężnem, z którem będą się liczyć. Dittmar, historyk niemiecki, powiada o Bolesławie, że na wszystkich dworach niemieckich mial swych szpiegów. Stanowi to dowód, że polityka tego władcy była polityką wielkiego państwa, mającego wszędzie swe interesy i o wszystkiem się z ciekawością informującego. To też granice Polski nigdy tak daleko nie sięgały, jak wówczas. Kiedy zabrakło tej polityki, jedność i potęga państwa nie ostały się.

Odkąd Polska stała się stanową, rozstrzygała o wszystkiem polityka szlachty, która nie myślała o państwie, lecz wyłącznie tylko o swoich interesach. Polityka ówczesnej Polski streszczala się w powiedzeniu: „gdzie pszenica nie rośnie — tam iść nie warto". W tych czasach takeśmy nisko zeszli w zakresie polityki międzynarodowej, że nie interwenjowaliśmy nawet w sprawie najwięcej nas obchodzącej, w sprawie Prus Wschodnich.

Jeśli Polskę mogło co dźwignąć, to tylko myśl wielkiego narodu. Aktywiści w czasie wojny tej właśnie myśli nie posiadali. Łączyli przyszłość Polski ze zwycięstwem Niemiec, od niego ją uzależniali. Myśmy zrozumieli, że trzeba zająć samodzielne stanowisko na terenie spraw europejskich. Przedewszystkiem należało zniszczyć Niemcy. Nam chodziło o to, aby Niemcy były pobite, bo tylko w tym razie mogliśmy uzyskać ziemie, które nam dają dostęp do morza. Dalszym celem było oderwanie tych ziem od Niemiec. Jeśli ta wojna nie da nam niepodległości — rozumowaliśmy — to zjednoczeni zdobędziemy ją za lat kilka, czy kilkadziesiąt. Pierwszym więc celem było powalenie Niemiec, drugim zjednoczenie ziem polskich, a niepodległość miała być ukoronowaniem dzieła. Żeśmy w wyniku wojny otrzymali wszystko równocześnie — to jest wielkie szczęście, którego Polacy nawet ocenić i zrozumieć nie umieją.

Ludność polska ma cały szereg bogactw materjalnych, więcej, niż ich mają np. Wlochy, które nie posiadają żelaza, węgla, nafty. Wogóle naturalnych warunków mamy więcej, niż ten kraj, **brak nam tylko właśnie jednej rzeczy: myśli wielkiego narodu.** Żyjemy ochłapami tego, co inne narody tworzą. **Nam trzeba wiedzy, samodzielnej produkcji we wszystkich dziedzinach twórczości, a nadewszystko myślenia wielkiego narodu.**

Dla braku tego właśnie **„myślenia wielkiego narodu"**, my, którym traktat wersalski mimo przeciwdziałania takiego Lloyd George'a dal jednak tyle — zeszliśmy na stanowisko równe Gdańskowi lub Litwie Kowieńskiej. Gdybyśmy mieli samodzielną twórczość, mielibyśmy inny wpływ na Europę środkową, innym byłby nasz stosunek do Czech i Rumunji.

Wasze pokolenie czeka olbrzymia praca. Myśmy doszli do stworzenia myśli narodowej i czynu politycznego. Do was należy dalsze zdobywanie. A mamy dwa zadania: chronić się przed zalewem żydowskim i postepować nazewnątrz. Nas musi znać cały świat. Czytałem niedawno książkę Gardoliniego o faszyźmie. Pisze on o niektórych przywódcach nacjonalistów włoskich, **że poszli za daleko w swym nacjonaliźmie, że zasklepili się w wewnętrznem życiu narodu i przestali się interesować tem, co się dzieje nazewnątrz. I w tem widzę niezmiernie zdrowy instynkt włoski.**

Pamiętajcie więc o tem, czego potrzeba, aby prowadzić mocarstwową politykę. Jeśli nie zrobimy wielkiego wysiłku umysłowego, to prędzej czy później staniemy się łupem Niemiec. Dlatego proszę was, nie bądźcie talmudystami.

Ciężką pracą trzeba iść naprzód, bo wiele mamy do zrobienia.

Pojęcie państwa w nowej konstytucji

Po uchwaleniu nowej konstytucji próbowano z różnych stron wytwarzać sugestje i usiłowania te bynajmniej nie osłabły, że nowy ustrój odpowiada nowoczesnym pojęciom o państwie, że odpowiada on więc tendencjom narodowym. Spróbujemy tu więc przypatrzeć się, jak sprawy te wyglądają w istocie, i rozpatrzeć stosunek nowej konstytucji do nowoczesnych pojęć ustrojowych, a więc do nowoczesnych prądów narodowych — sine ira et studio, z możliwie jaknajwiększym objektywizmem i rzeczowością.

Zanim przejdziemy do właściwego tematu wypada stwierdzić, jakie nowoczesne prądy narodowe zajmują stanowisko w sprawie samej, jeżeli tak można powiedzieć, procedury nadawania nowego ustroju. — Jakim to ma się dokonać ich zdaniem sposobem?

Otóż w myśl stanowiska, reprezentowanego przez nowoczesne prądy narodowe, nowy ustrój nie może opierać się na projektach, wymyślonych wyłącznie przy zielonym stole, a potem w taki czy inny sposób uchwalonych. Nowoczesne ruchy narodowe przynoszą zamiast tego mechanicznego sposobu — sposób organiczny. Jaki on ma przebieg?

Oparty on jest na aktywizacji świadomości politycznej społeczeństwa. Z tej aktywizacji świadomości politycznej rodzi się wielki ruch społeczny, który wytwarza w sobie nowe instytucje, nowe formy organizacyjne, słowem nowy układ pracy, ten zaś w chwili objęcia steru przez wspomniany ruch społeczny przechodzi z niego na państwo. Tylko ta droga daje gwarancję, że nowy ustrój wyrasta z najistotniejszych potrzeb materjalnych i duchowych społeczeństwa. Sposób „nadania" nowej naszej konstytucji niewątpliwie bardzo odbiega od tych założeń.

A teraz przypatrzmy się samej konstytucji. Na czele jej znajdujemy następujące zdanie: „Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli". Dla współczesnego człowieka definicja ta jest, trzeba to odrazu stwierdzić, niesłychanie mało mówiąca, poprostu nabiera znamion frazesu.

Poza każdą definicją jednak kryje się pewien określony pogląd na świat. Spróbujemy więc określić, jakiej postawie ideowej odpowiada idea państwa w naszej konstytucji.

Nauka o państwie od 16-tego do 18 wieku opierała się na poglądach filozoficznych tego czasu, a te opierały się na wierze, że człowiek jest istotą rozumną i jako taki ma możność poznania wartości objektywnych i ich porządku hierarchicznego. Świat zbudowany jest, w myśl tych teoryj, na prawie naturalnem, które rozum odkrywa, a w których państwo znajduje jedyną legitymację. Nie potrzeba dodawać, że taka postawa przechodzi do porządku dziennego nad „państwem historycznem" dla niej istnieje tylko państwo jako abstrakt.

Nie istnieją więc narodowości, istnieje tylko człowiek. Państwo i obywatel. To są dwa bieguny. Rozum wykrywa rządzące światem prawa naturalne. Co jest więc naturalne — to jest równocześnie dobre. Państwo jest tworem rozumnym, państwo więc jest dobrem. A więc i mamy: Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli.

Że definicja państwa w nowej konstytucji polskiej wywodzi się z poglądów filozoficznych 18-towiecznych, to potwierdzają oczywiście i dalsze punkty „dekalogu".

Jeżeli więc chodzi o ten abstrakt człowieka wypranego z wszystkich barw to mamy: „Ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczenia tych (poprzednio sprecyzowanych) uprawnień".

Wspomniana dwubiegowość: państwo — obywatel doprowadzająca w skrajnych ujęciach filozofów oświecenia do unicestwienia obywatela (absolutyzm) czy państwa (skrajny liberalizm), jest zachowana.

A więc:

„Państwo zapewnia obywatelom możność rozwoju ich wartości osobistych oraz wolność sumienia, słowa i zrzeszeń". (liberalizm)

A z drugiej strony art. 2, dotyczący Prezydenta Rzeczypospolitej z końcowym 4-tym punktem: „W jego osobie skupia się jednolita i niepodzielna władza państwa", jest w związku z resztą tekstu konstytucji ujęciem absolutystycznem w duchu 18-tego wieku.

Czynnikiem reakcji przeciwko racjonalizmowi oświecenia był historyzm 19-towieczny. Przybierał on formy różne, kształtując swoiście pojęcie państwa. Rozumował on, że przeszłość nie może pozostać bez wpływu na życie człowieka, że jest więc ona czynnikiem wiążącym, determinującym teraźniejszość. Jest to historyzm w swej odmianie pasywnej. Historja w tem ujęciu zobowiązuje człowieka wobec siebie, ale nic mu jeszcze nie wskazuje. O śladach takiego historyzmu możnaby mówić w naszej konstytucji. Jest więc w niej mowa o „przekazywaniu w spadku dziejowym" o „odpowiadaniu przed potomnością" o „odpowiedzialności wobec historji".

Jeżeli jednak chodzi o ukonkretnienie pojęcia polskiego historji, to konstytucja nasza zna ją w odniesieniu do państwa dopiero z lat ostatnich. Powodem zaś tego jest traktowanie państwa jako organizacji grupy panującej, w tym wypadku, jak mówi konstytucja, organizacji „najlepszych synów". Szłoby to po linji pojęć materjalizmu dziejowego, dla którego fundamentem historji są: żądza władzy, instynkty mas, interesy klasowe, a wszelkiego rodzaju dorobek ideowy tylko czynnikiem wtórnym.

Jeżeli więc przypatrzymy się, jakie to kierunki ideowe definjują pajęcie państwa, którem się posługuje nasza konstytucja, to znajdziemy tam wszystko tylko nie tę postawę ideową, która znajduje się u podstawy nowoczesnych prądów ideowych.

Znajdziemy tam pojęcia 18-towieczne z kombinacją despotyzmu z liberalizmem, znajdziemy przebłyski historyzmu pasywnego, czy dziejowego materjalizmu, nie znajdziemy natomiast historyzmu aktywnego, który buduje filozoficzne podstawy dla nowoczesnych ruchów narodowych.

Wynika on ze zrozumienia, że historja stwarza dla nas przedewszystkiem zadania. W odniesieniu dla pojęcia państwa postawa ta ujmuje je jako środek do spełnienia pewnego celu, środek do wypełnienia wielkiego dziejowego zadania. Skutkiem takiego pojęcia państwa jest jego udynamicznienie.

I nasza konstytucja mówi o celach państwa. Cele te jednakże ukrywa w prawach, a prawa znowu oparte są na „dekalogu". Wszystko to jest konsekwencją statycznego ujęcia państwa, jakiem ono jest w myśl pojęć tych, na których oparli się twórcy naszej konstytucji. To też musieli wziąć drugorzędne zadania państwa za pierwszorzędne.

To też musieli czynności wyrównujące różnice, zawiadowcze i opiekuńcze uznać za najważniejszy cel państwa. Takie cele jednakże stawiają sobie państwa, które już nie mają żadnych wielkich zadań politycznych do rozwiązania, względnie nie umieją ich sobie postawić.

Pojęcie państwa w naszej konstytucji jest więc nawskroś statyczne, podczas gdy w myśl pojęć nowoczesnych ruchów narodowych jest ono dynamiczne. Tym czynnikiem, który tę dynamiczność powoduje, jest idea.

Dynamizm ten objawia się nietylko na zewnątrz, ale i na wewnątrz. I tu nie jest państwo wielkością stałą, zgóry określoną, ale jest w stadjum ciągłego stawania się przez ciągłe zobowiązywanie się obywatela w imię idei, przez codzienny, jak zauważono, plebiscyt.

Praktycznym przykładem starcia tych wszystkich pojęć o państwie były ostatnie wybory, z ich plebiscytem, który zmuszony był szukać sobie tak niezwykłej formy, a jednak ją znalazł.

Wydaje się, że nawet z tych pobieżnych uwag można wyciągnąć wniosek, że nasza nowa konstytucja nie ma nic wspólnego z pojęciem państwa, reprezentowanem przez nowoczesne ruchy narodowe.

Kapitalizm, etatyzm, własność

Otrzymujemy poniższe uwagi, które traktujemy jako materjał do dyskusji:

„Sanacyjno" - konserwatywny „Czas" w artykule „Nagie prawo własności" poczynił szereg, acz jednostronnych, ale ciekawych uwag na temat własności i jej roli w ustroju społeczno - gospodarczym doby obecnej.

Oto krótka treść tych wywodów:

Żyjemy w ustroju kapitalistycznym, którego podstawowemi urządzeniami są wolna konkurencja i prawo własności, a motorem dążenie do osiągnięcia zysku, rentowności warsztatów pracy.

W Polsce jest większość tych, którzy wierzą, że ustrój kapitalistyczny jest obecnie najlepszym. Kapitalizm jest atakowany ze wszech stron. Dlatego jego wyznawcy winni go bronić. Prawo własności zdaje się być najsilniejszym punktem kapitalizmu. Główny atak kieruje się na wolną konkurencję i na zasadę rentowności. Natomiast ze względu na przywiązanie do instytucji własności bezpośrednio jej — nie atakuje się. Głównym wrogiem ustroju kapitalistycznego jest rozwijający się coraz więcej u nas etatyzm, który pośrednio godzi we własność prywatną. Etatyzm stwarza warunki, w których o rentowności warsztatów pracy decydują nie jego wartości wytwórcze lecz kontyngenty, ochrona celna, ulgi, rozdzielane dowolnie przez państwo. Etatyzm powoduje nacisk podatkowy, pozbawiający warsztaty zysku. W ten sposób etatyzm zmienia prawo własności na prawo płacenia podatków. „Czas" takie prawo własności nazywa „nagiem" tj.: pozbawionem treści, wyrażającej się w czerpaniu z niej zysku. i wzywa do obrony kapitalizmu przed zachłannością etatyzmu, któremu należy „przeciwstawić zwarty front zachowawczy".

Wskazania na instytucię własności, jako signum specificum ustroju kapitalistycznego i równoczesne przeciwstawienie mu etatyzmu nie wydaje się nam słuszne i trafne. Zarówno bowiem kapitalizm jak i etatyzm treść własności jednako pojmuje. Różnica jest tylko ta, że w pierwszym wypadku podmiotem prawa własności jest jednostka lub zespól, w drugim państwo.

W tem świetle etatyzm staje się jedną tylko z form kapitalizmu, zwanego często państwowym, a nie jest czemś zgoła odrębnem, jakby to wynikało z wywodów „Czasu". Również postulat rentowności warsztatu gospodarczego jest w normalnych warunkach równie dobrze właściwym dla kapitalizmu jak i etatyzmu.

Wskazanie na te momenty nie oznacza bynajmniej, że występujemy tu w obronie etatyzmu. Jesteśmy przeciwnikami kapitalizmu, jak i jego odmiany: etatyzmu.

Dezawuujemy te rzekomo zasadnicze „różnice" pomiędzy kapitalizmem a etatyzmem, dlatego że utrzymanie tego rodzaju sugestyj w społeczeństwie leży w interesie egoistycznym sfer kapitalistycznych.

Te zaś interesy nie mają lepszej legitymacji, jak etatyzm. Jedno i drugie dla polskiej gospodarki narodowej jest szkodliwe. Jedno i drugie w równej mierze i z równą bezceremonjalnością przechodzi do porządku nad treścią własności i jej konsekwencjami w gospodarce.

Przyjrzyjmy się tylko bliżej zasadzie wolnej konkurencji, a prawdę powyższego stwierdzenia ujrzymy w całej rozciągłości.

Otóż wolna konkurencja jest niewątpliwie tym momentem, który różni kapitalizm od etatyzmu. Przy gospodarce etatystycznej, gdzie podmiot jest jeden, trudno mówić o wolnej konkurencji. Może on istnieć, ale w b. ciasnym zakresie. Inaczej w ustroju czysto kapitalistycznym przy dużej indywidualizacji podmiotów gospodarczych. Wolna konkurencja winna mieć szerokie zastosowanie. Tak jest w teorji, w praktyce zarówno czysty kapitalizm, jak i etatyzm wolną konkurencję ograniczają, co daje w konsekwencji pogwałcenie zasad własności prywatnej. Taka jest zasadnicza przytem różnica, że przy etatyźmie ograniczenie to wypływa z natury etatyzmu, przy systemie czysto - kapitalistycznym, co jest tem gorsze, z woli „kapitanów przemysłu" przejawiającej się w kartelizacji produkcji. Kartelizacja zaś jest niczem innem jak ograniczeniem wolnej konkurencji, wolnej wytwórczości, ograniczeniem własności na rzecz „rekinów kapitalizmu".

Z punktu widzenia postawy moralnej, której my narodowcy z dziedziny ekonomicznej wykluczyć w żadnym razie nie możemy, pozycja systemu kapitalistycznego jest niewątpliwie gorsza. Jest tu zarazem samobójcza bramka „Czasu", który będąc organem sfer kartelowych usiłuje bronić instytucji własności po to, żeby ją pro domo sua ograniczać w polityce kartelowej. Są to te wielkie niekonsekwencje, chylącego się ku upadkowi ustroju kapitalistycznego i etatyzmu.

Nawoływanie do jego obrony brzmi fałszywie i nieszczerze, podobnie jak fałszywie wygląda obrona własności, którą właśnie kapitalizm uczynił „nagiem prawem".

Właściwe znaczenie i głęboką treść własność uzyska dopiero w nowym ustroju gospodarki narodowej. Będzie to wielka treść społeczna i narodowa.

J. T.



W następnym numerze zabierze głos w sprawie zagadnień, poruszonych przez nas w artykule „Symbol praojców", znakomity uczony, badacz i znawca pradziejów Słowiańszczyzny, znany przeciwnik teorji wojującej niemczyzny, prof. dr Józef K o s t r z e w s k i.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

Urabianie charakteru

Najcenniejszym skarbem i właściwą cechą obywatela jest charakter. Rozumieć przezeń należy zgodność postępowania z zasadami. Określamy go jako silny, gdy bez względu na trudności i przeszkody postępujemy wedle tych wytycznych zasad, które uznaliśmy za kierownicze, będzie on szlachetny, dobry, gdy zasady te są dobre i wzniosłe, nazywamy go pospolicie „czarnym", gdy przeciwnie zasady są niskie, samolubne. Niezłomnym charakterem musi się odznaczać każdy prawdziwie wybitny, powinien go posiadać każdy, zajmujący stanowisko kierownicze, ale i przeciętny obywatel musi go w sobie wyrabiać, bo praca choćby najskromniejsza, wymaga trudów i pokonania przeciwieństw.

Jak dojść do tego, jakim się być pragnie, jak wyrobić w sobie charakter?

Pomijam tu nadprzyrodzone środki i sposoby, jakie podaje religja, zestawiam natomiast metody psychologiczne i zabiegi przyrodnicze, które, współdziałając skutecznie z tamtemi, mogą doprowadzić do pożądanych rezultatów.

Przedewszystkiem należy jak najdokładniej poznać siebie samego, swoje właściwości tak fizyczne, jak psychiczne, określić ile możności swe uzdolnienia ogólne i specjalne, swe upodobania i zamiłowania, uczucia, pragnienia i dążenia. Baczną zwracać uwagę na opinję innych o sobie, zwłaszcza ujemną i nie oburzać się na nią, lecz ją rozważyć i ocenić spokojnie.

Druga rzecz to postawienie jakiegoś wzniosłego celu, jakiegoś ideału, do którego będziemy dążyć, którego może nie osiągniemy w całej pełni, ale który będzie nas wznosił coraz wyżej w miarę stopniowej, choćby częściowej realizacji. Im on jest większy, wznioślejszy, tem lepiej, bo tem dalej i wyżej może nas zaprowadzić, byle wiązały się z nim czyny, inaczej wyradza się w niezdrową ambicję i zarozumiałość, rodzi wieczne niezadowolenie ze siebie i ze świata.

Lecz obok tych wielkich, dalekich celów, nieraz na całe życie, trzeba myśleć o pośrednich szczeblach, ustalić cel na najbliższą metę, na dziś i na jutro. Często tedy należy rozważać i ułożyć plan pracy na określony czas najbliższy, uwzględniając obowiązki wobez siebie samego, wobec bliskiego otoczenia, narodu, państwa, wobec Boga. Dobrze jest co pewien czas, przynajmniej co tygodnia, zrobić przegląd wyników, zbadać, czy się doprowadziło do celu, czy i jakie okazały się braki; dobrze jest nawet prowadzić dzienniczek (może szyfrowany, by chronić się przed niedyskrecją niepowołanych), a wtedy łatwo zobaczymy, czy idziemy naprzód, czy może nawet się cofamy.

Samo poznanie jednak nie wystarcza, konieczne jest, jak we wszystkiem, ćwiczenie. Praca jednak musi być prowadzona planowo, rozpoczynać od zadań łatwych, krótkotrwałych, a z czasem przechodzić do coraz trudniejszych i dłuższych. Nie lekceważyć więc drobiazgów, to wyrabia skrupulatność, nadto każdy czyn udały, w myśl powszechnie obowiązującego w psychologji i fizjologji prawa wprawy, ułatwia powtórzenie i toruje drogę nowemu, choćby trudniejszemu. Pamiętać przytem trzeba, że łatwiej jest zrobić coś dobrego, niż odzwyczaić się od zła, zaczynać więc pracę od rzeczy pozytywnej, od pewnych, choćby drobnych, krótkotrwałych uczynków, a dopiero później zabrać się do wykorzeniania wad.

Ważna zasada, to nie rozpoczynać zła, choćby modnego i mało znaczącego, stokroć łatwiej nie zaczynać, niż potem się odzwyczajać. Ale nawet najcięższych, najbardziej zakorzenionych wad i nałogów można się wyzbyć przy dobrej woli i gorliwej pracy. I tu znów wybrać tylko jedno określone zadanie, by się nie rozpraszać, na początek nietrudne i na krótki czas. Po określonym czasie, choćby po przerwie, wyznaczyć termin dłuższy, potem stopniować trudności. Każde zwycięstwo toruje drogę nowemu.

Nie trzeba się zniechęcać przypadkami niepowodzeń. Wprawdzie każdy upadek tworzy niepożądaną dyspozycję, utrudniającą zamierzoną pracę, ale nie trzeba kapitulować nawet w razie klęski. Należy tylko nieco zawrócić i wznowić łatwiejsze zadania, lub skrócić wyznaczony okres, aby dopiero z czasem przekroczyć trudną przeszkodę.

Przy wszelkich pracach tego rodzaju pamiętać trzeba nietylko o wzmacnianiu ducha, ale i o zdrowiu i sile ciała.

Wreszcie należy zwrócić uwagę na ważność pracy zbiorowej w kierunku określonych ideałów, stąd powinni kierownicy prac dbać o wyrobienie „dobrego ducha" w swych zespołach.

Oczywiście nie każdy jednako szybko stanie u bliskiej choćby mety, ale nie tracić nadziei, ani nie upadać na duchu w myśl nauki poety (J. Niemcewicza): „Im większe ciernie, głogi, tem milsze jest zwycięstwo"

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Pochwała wojny

temperaturze rzezi wyrasta świetlistym kształtem m i ł o ś ć c z ł o w i e k a. dawno zapomniana, której w czasie pokoju nędzne tylko falsyfikaty krążyły w obiegu — hartują się uczucia społeczne o niezwykłem nasileniu.

Jest niewątpliwie coś z prawdy, w tych myślach Wiliama Jamesa o wojnie: „Śmierć staje się błahostką: władza, jaką zwykle wywiera ona na nasz umysł, by powstrzymać nas od działania, znika jak mara senna. Rozwijają się nowe energje: zda się, że życie wznosi się na wyższy poziom siły, potęgi. Wojna jest szkołą twardego życia i bohaterstwa. Utrwalanie p i e r w o t n e g o instynktu powszechnego, to w chwili obecnej jeszcze jedyna szkoła energji dostępnej dla wszystkich bez wyjątku.“ Wojna — dodamy — jest jakby swojego rodzaju ascezą, ale już nie dla garstki anachoretów, ale uniwersalną.

Zaś Chesterton, pisarz obdarzony nadzwyczajnem wyczuciem wartości wszelkiej walki (i w którym w rzeczy samej tkwi bardzo silny instynkt walki), ujawnia najpełniej jej biologiczne walory. „Syme, bohater powieści „Człowiek, który był Czwartkiem“, dopiero postawiony w pojedynku oko w oko ze śmiercią, „poczuł dziwną i żywą wartość całej ziemi, którą widział dokoła . . .“ Dr. Eames (w „Żywym człowieku“), wyratowawszy się, staje potem w pełnej podziwu kontemplacji przed oknem z centkowanemi roletami i dziękuje Bogu za ich istnienie. Ojciec Michał (w „Kuli i krzyżu“) dopiero po wyjściu z niebezpieczeństwa nagle się poczuł niewypowiedzianie szczęśliwym, a kiedy spotkał pierwszego człowieka (był to policjant), wydawało mu się, że mógłby całe życie spędzić we dwójkę z tym człowiekiem zdaleka od reszty świata . . . Bo — jak czytamy w „Kuli i krzyżu““ — „w kulminacyjnym punkcie niepohamowanej grozy spada nagle na człowieka spokój szalonego zadowolenia... Jest to coś równie pozytywnego, jak dobra nowina . . . Wydaje się wtedy prawie, jakoby w rzeczach była jakaś j e d n o l i t o ś ć, a we wszystkich możliwych wydarzeniach jakaś równowaga, o której nie dozwolono nam wiedzieć, żebyśmy nie zobojętnieli na dobro i zło, ale która bywa nam czasem ukazana na chwilę — jako ostatnia pomoc w ostatecznej trwodze“ (wyjęte z monografji Borowego o Chestertonie, Kraków 1929).

Otóż te nowe, niezwykłe doznania jednolitości i równowagi w urządzeniu świata są jak nagła błyskawica prawdy, jak mroźny prąd górskiego powietrza — krzepiące i ożywcze. Nie potrzeba się dużo rozwodzić, że jest to zjawisko zupełnie przeciwne rozkładowemu, rozproszkowującemu, ubezmyślniającemu działaniu t. zw. życia normalnego, że więc jego rola może być tylko konstruktywna, twórcza. Człowiekowi współczesnemu, któremu życie wydaje się sumą niezamkniętą przeżytych dni, wojna — z wszystkich zjawisk może najostrzej, najsilniej, najpowszechniej — ukazuje sens życia, obraz życia idealnego, nędzę życia rzeczywistego. I w tem mieści się bodaj cała kwintesencja wszystkich wartości wojny.

Wyobrażam sobie, że całkowite, istotne, gruntowne odrodzenie ludzkości nastapi dopiero po tego rodzaju wstrząsach. Nic nie wskazuje, żeby je przyniosła powolna, spokojna ewolucja. Być może jest w tem tragizm ludzkości. Ale jest też i gwarancja trwałego, zasłużonego, wieczystego dobra, które dziś, jeżeli się jawi przed nami, to tylko jako mroczna, mityczna mara.

Pod światło...

Rektor uniwersytetu pod zarzutem plagjatu

Do niecodziennych wydarzeń w życiu nauki polskiej należy fakt postawienia przez „Kurjer Poznański“ zarzutu, iż rektor Uniwersytetu Poznańskiego prof. dr. weterynarji St. Runge dopuścił się plagjatu w stosunku do twórczości naukowej nieżyjącego już prof. Akademji Weterynaryjnej we Lwowie śp. dr. Fibicha.

Otóż w artykule „W obronie nauki polskiej“ „Kurjer Poznański“ stwierdza, że prof. Runge, już jako profesor Uniwersytetu Poznańskiego wydał w r. 1921 książkę pt. „Nauka o koniu“.

„Książka ta jest w znacznej części dosłownem skopjowaniem pracy „Hodowla ogólna“ — według wykładów prof. dr. Stanisława Fibicha.“ Wykłady te zostały w r. 1912 spisane i powielone litografją, a wydane nakładem Bratniej Pomocy Studentów Weterynarji. Z tych właśnie wykładów „prof. Runge przejął żywcem w swej „Nauce o koniu“ dziesiątki stronnic, przedstawiając je, jako swoją własność naukową, przyczem tam wszędzie, gdzie prof. Fibich użył wyrażenia „zwierzę“ prof. Runge zastąpił je „koniem“. Rzecz charakterystyczna, że w spisie piśmiennictwa, na które prof. Runge powołuje się w swej „Nauce o koniu“, wymieniona jest praca prof. Fibicha pt. „Chów zwierząt na rasę i chów na użytkowność“, natomiast całkiem nie są wymienione wykłady prof. Fibicha o „Hodowli ogólnej“. które w dziesiątkach stron zostały przejęte przez prof. Rungego w „Nauce o koniu“. Tę „Naukę o koniu“ prof. Runge dedykował prof. Fibichowi „w dowód głębokiej czci i wdzięczności“. Drugi zarzut dotyczy książki prof. Rungego, wydanej również w r. 1921 pt. „Rasy i zewnętrzny wygląd bydła rogatego domowego“. „I w tej książce jest znaczna część tekstu, przejęta z wykładów prof. Fibicha, powielonych litograficznie, a opracowanych przez Marjana Franciszka Kowalskiego, słuchacza medycyny weterynaryjnej pt. „Rasy i exterieur bydła rogatego domowego“.

W odpowiedzi na tak sprecyzowane zarzuty prof. Runge opublikował w „Dzienniku Poznańskim“ „pismo wyjaśniające“, którego treść z opuszczeniem politycznych sugestyj, podajemy dosłownie:

„Byłem od r. 1911 do listopada 1918 r. asystentem śp. prof. Fibicha. Profesor w owym czasie był poważnie niedysponowany, co uniemożliwiało mu naukową pracę.

Z uwagi na to zlecał mi przygotowanie tekstów książkowych wykładów. W wykonaniu tych zleceń przygotowywałem śp. prof. Fibichowi teksty z wielu wykładów, które były przez Niego wygłaszane, i wskutek tego weszły w skład skryptów.

Książki moje „Nauka o koniu“ i „Rasy i zewnętrzny wygląd bydła rogatego domowego“ wydałem drukiem w r. 1921 za zaleceniem śp. prof. Fibicha i za Jego życia. Dedykowałem je prof. Fibichowi, przesyłając Mu egzemplarze dedykacyjne. Prof. Fibich zawsze bowiem uznawał moje prawa autorskie do tych wykładów, które na Jego zlecenie przygotowałem. Podkreślam, że prof. Fibich żył jeszcze dwa lata po wydaniu wspomnianych dedykowanych Mu moich książek. Zmarł bowiem dopiero w r. 1923.

Prawdą jest, że całe ustępy i rozdziały załączyłem ze wspomnianych wykładów do moich podręczników. Miałem do tego prawo, gdyż stanowiły one moją własność autorską, którą prof. Fibich zawsze uznawał z właściwą Mu lojalnością, a nawet nakłonił mnie, bym wydał moje podręczniki w tej formie, w jakiej zostały wydrukowane.

Wydane przezemnie książki stanowią więc moją własność autorską“.

W tymże liście prof. Runge zapowiada, że oddaje sprawę zarzutu „Kurjera Poznańskiego“ do sądu.

„Kurjer Poznański“, podtrzymując w całej rozciągłości postawione zarzuty, wydrukował zdjęcia fotograficzne fragmentów książek prof. Rungego oraz ich pierwowzorów: skryptów prof. Fibicha. Następnie na wyjaśnienia prof. Rungego odpowiedział następująco:

„Jeżeli stanąć na gruncie pierwszego twierdzenia prof. Rungego, to nie on, prof. Runge, korzystał w dwóch swych książkach z dorobku naukowego prof. Fibicha, lecz, przeciwnie, prof. Fibich korzystał z dorobku naukowego swego asystenta, wygłaszając przez ośm lat wykłady, których teksty przygotowywane były przez asystenta Rungego, i ponadto godząc się na wcielenie wykładów tych, przygotowanych przez jego asystenta, do zespołu skryptów, związanych wyłącznie z nazwiskiem prof. Fibicha. Tem samem byłby prof. Fibich przez ośm lat, jako pedagog i uczony, świadomie wprowadzał w błąd władze swojej uczelni, swych słuchaczów i wogóle społeczeństwo.

Takie postawienie sprawy, oznaczające odkrycie niezwykłej „procedury naukowej“, nietylko wywołać musi zdumienie w świecie naukowym, ale wyrządza nową ciężką krzywdę zmarłemu prof. Fibichowi, „drogiemu nauczycielowi“ prof. Rungego.

Prof. Runge twierdzi w punkcie drugim o „zaleceniu“ porf. Fibicha i „uznaniu (przezeń) praw autorskich“ p. Rungego do wspomnianych wykładów. Tymczasem prof. Fibich — leży już od dwunastu lat w grobie, przyczem stan jego zdrowia w ostatnim okresie życia był bardzo ciężki.

Więc, zamiast nieboszczyków powoływać na świadków, ze swej strony stawiamy świadectwo leżącej przed nami książki „Hodowla ogólna“, na której karcie tytułowej mowa wyłącznie o wykładach prof. dr. Stanisława Fibicha i o nakładzie Towarzystwa Bratniej Pomocy Studentów Weterynarji, a ani słowem wymieniony nie jest asystent Stanisław Runge, podobnie, jak niema o nim ani słowa w całej książce“.

Pozatem „Kurjer Poznański“ publikuje szereg drobnych, ale o zasadniczem znaczeniu przyczynków w tej sprawie, która wywołała duże wrażenie nietylko w sferach naukowych. O epilogu w swoim czasie poinformujemy.

Tego po Hulce się nikt nie spodziewał...

Jedną z najcharakterystyczniejszych cech polskiej współczesności literackiej jest jej „zniewieściałość“ w dosłownem i przenośnem tego słowa znaczeniu. Czas już największy, aby uświadomić sobie, czem stan ten grozi naszej kulturze. W ostatnim czasie mamy do zanotowania atak na taki stan rzeczy ze strony najmniej spodziewanej, bo ze strony znanego herolda, jeżeli tak można powiedzieć, feminizacji świata, wraz ze wszystkiemi jego instytucjami. P. H. Laskowski zamieścił w 7 zeszycie „Nowej Książki“ artykuł pt. „Współczesna polska powieść kobieca“. Pomiędzy szeregiem trafnych uwag spotykamy i następujące:

„Mamy tu miłe fragmenty, albo cykle fragmentów, wierne kopje rzeczywistości wzrokowej i słuchowej, stylizowane najwyżej metaforami.

Ale świat zewnętrzny pewnego środowiska zostaje bardzo szybko opisany i wyczerpany, a pociągające zaciekawienia nasze tkwić będą zawsze w zdarzeniu, w konflikcie, w dramacie. Co się stało, czy też stawało się dość długo, jakaś sprawa powszednia, powszechna, wszechludzka. To jest tematyka powieści męskiej. U kobiet piszących spotykamy się natomiast ze światem w stanie spoczynku, **poza dziejowym** (podkreślenie nasze), często przedhistorycznym“.

Dobrze, że sprawy te zostały podkreślone.

m.

Słonimski — tyran

Poniżej zajmiemy się odpowiedzią Zarządu Klubu Polonistów w Warszawie na zaczepkę ze strony Antoniego Słonimskiego, który w swej kronice tygodniowej w „Wiadomościach Literackich“ „zjadliwie zaatakował“ — jak stwierdza list Polonistów, umieszczony p. t. „Obrona polonistów“ w świeżym zeszycie dwumiesięcznika „Polonista“ — nauczanie języka polskiego.

Czytamy tam m. in. co następuje: „Natknąwszy się na ponętny dla siebie materjał . . . p. A. Słonimski rzuca się na nauczanie języka polskiego i polonistów, nie szczędząc słów o b e l ż y w y c h i u r ą g a n i a. „Z ł o ś l i w e a l u z j e do różnych objawów nieuczciwości czy niezdrowych stosunków wśród polonistów, czynnych na polu wydawniczem, pozostawiamy bez odpowiedzi. Nie wychodzą one bowiem poza trywialnie sformułowane ogólniki, nie poparte żadnemi konkretnemi przykładami, a krzywdzące w wysokim stopniu uczciwych pracowników w tej dziedzinie.“

Odpowiedź ta przesłana została redakcji „Wiadomości Literackich“, która jej jednak postanowiła nie umieścić, motywując, że nie może na łamach swego pisma „dopuścić do osobistej“ krytyki swego współpracownika. „Polonista“, wspominając o tem, pisze: „ ...Dziwnem wydaje się postępowanie redakcji „Wiadomości Literackich“, która pozwala swemu współpracownikowi publicznie lżyć, napadać i krzywdzić ludzi, nie pozwala natomiast napastowanym na godziwą obronę“.

Nie zajmowalibyśmy się tą sprawą, gdyby nie to, że zawiera ona pewien charakterystyczny moment. Mianowicie owi poloniści warszawscy zdradzają się z czemś, w rodzaju „Minderwertigkeit“. Zbyt silnie podkreślają stronę swej słabości, swej krzywdy, o czem świadczą takie choćby wyrażenia tego listu jak „zjadliwy atak“, „krzywdzące w wysokim stopniu uczciwych pracowników“, „lżyć“, „napastowani“, „godziwa obrona“ i in. Ostatecznie najlepiej wychodzi z tej sprawy Słonimski. Tnie na lewo i prawo, nie patrząc słusznie czy niesłusznie, a dotknięci jego piórem uderzają w płaczliwy ton skargi i bezradności, dając przez to świadectwo czy sugestję jego siły i niepokonalności. W ten sposób skłania się Słonimskiego do tego, by się czuł niby tyran — on, który tak zwalcza wszystko co zalatuje tyranją! — pod którym jęczą chłostane niesprawiedliwie owieczki. I dziwić się potem, że ma tak doskonałe samopoczucie . . .

WŚRÓD MŁODYCH GRAFIKÓW



„Z małego miasteczka“ — litografja zdolnego artysty grafika **Czesława Borowczyka**, absolwenta Państw. Szkoły Sztuki Zdobniczej w Poznaniu.

(Fot. M. Ryś.)

Z niwy regjonalnej

HENRYK PRZYBYLSKI: „**Wacław z Szamotuł**“. Nadworny kompozytor króla Zygm. Augusta. Szamotuły 1935, str. 76.

Jest to rzecz o charakterze regjonalnym. Ten moment nie usposabia mnie dodatnio. Płody regjonalizmu rzadko kiedy wznoszą się ponad tuzinkowość i partykularyzm, napięty „patrjotyczną“ ambicją uczynienia ze swego Pacanowa — środka świata. Ale po bliższem zaznajomieniu się z pracą p. Przybylskiego uprzedzenie tego rodzaju znika, ujawnia ona bowiem duże oczytanie i dość szeroką orjentację w przedmiocie. Niestety, natychmiast prawie pojawiają się inne zastrzeżenia. Zastrzeżenia tej wagi, że czynią tę niewątpliwie z zacnego zamysłu zrodzoną publikację jednem, 76-stronicowem nieporozumieniem. Autor w przedmowie — tak niejasnej podobnie jak cała rozprawka, jakby autor był przynajmniej jakimś Przybosiem lub Peiperem — zdaje się widzieć nowość swej pracy w tem, że podkreśla katolickość Szamotulczyka. Otóż najważniejsze miejsca, poświęcone owej apologji, tak brzmią: „Nazwiska Trzecieskiego i Reja zrobiły wspaniałą reklamę Wacławowi, bo odtąd pieśni jego przedrukowywano we wszystkich znaczniejszych kancjonałach . . .“

„Nic dziwnego, że Poliński zaliczył Szamotulczyka do kompozytorów dysydenckich, przecież opierał się na powyższych danych. — A jednak stało się to niesłusznie, bo jeśli weźmiemy pod uwagę całą twórczość, t o n i e z n a j d z i e m y w n i e j ż a d n e g o w y k r o c z e n i a p r z e c i w r e l i g j i r z y m s k o - k a t o l i c k i e j, raczej odwrotnie, muzyka i tekst są wzorem kompozycyj liturgiczno - kościelnych“. Ten sam poziom ma argument drugi, końcowy: „Bowiem podczas gdy wielcy Szamotulanie z grona obojętnych kolegów kanoników poznańskich zabierają głos publicznie i w przewlekłych procesach występują energicznie w obronie wiary chrześcijańskiej, on, Wacław, największy z pośród nich miałby przejść do obozu heretyków?“

Złudzenie jakiejś metodycznej kompozycji daje podział pracy na rozdziały o sprecyzowanych tytułach. Lecz pod takim tytułem znajduje się wszystko: i młodość i lamentacje i Wawel i Poliński i innowiercy. Całkowity bezład, wręcz niechlujność myślowa.

Książka staje się niestrawna nawet dla najbardziej lojalnego czytelnika.

MIECZYSŁAW DEREŻYŃSKI: **„Józef Chociszewski w Inowrocławiu“**. Inowrocław 1935, str. 28.

Inne wrażenie odnosi się z broszurki p. Dereżyńskiego. Tu przynajmniej wiadomo o co autorowi idzie. Rzecz odrazu osadza się we właściwem miejscu. Brak jej pretensjonalności i kokieteryjnej pseudonaukowości. Przedstawia dzieje prasy polskiej przedwojennej na odcinku inowrocławskim z ich punktem środkowym, Józefem Chociszewskim. Postać to bardzo ciekawa, zajmująca trwałą pozycję na kartach kultury wielkopolskiej. Barometr uczuć, nastrojów, nadziei kilku pokoleń. Indywidualność o znaczeniu prawie historycznem.

Zwroty i wyrażenia w broszurce w rodzaju: „Męczennik za Dobrą Sprawę“, „surowa kaźń“, „siał ziarna oświaty“, „położył trwałe podwaliny itd.“, „karcił samowolę społeczną, tępił warcholstwo“, „fotel redaktorski“, „złożony niemocą“ i in. chętnie się wybacza zapalonemu regjonaliście.

ren.

Z teatru

Bolączką naszych poznańskich teatrów — i to chroniczną — jest brak reżyserów, reżyserów z prawdziwego zdarzenia, których rola w teatrze nie przypomina roli belfra starego typu: odpytać aktorów, czy umieją kwestje, robić mętlik, żądając na każdej próbie czegoś wręcz innego niż w dniu poprzednim.

W tym roku reżyserów, którzy wiedzą czego chcą, mamy tylko dwóch: Noskowski w **Teatrze Nowym** i Zawistowski w **Teatrze Polskim.** To stanowczo za mało, jeśli wziąć pod uwagę, że mamy w Poznaniu trzy teatry. Zawsze jednak więcej, niż nic.

Powiada Chesterton, że najwięcej możliwości twórczych i najwięcej radości duchowych daje człowiekowi szósty zmysł — dziwienie się. A najwyższe zadowolenie ze zdziwienia może stworzyć rzecz, do której człek się przyzwyczaił, sto razy oglądał i dopiero za sto pierwszym razem znowu się zdziwił.

Otóż takie właśnie twórcze i radosne zarazem zdziwienie jest moim udziałem.

Dziwię się mianowicie, iż znalazł się człowiek, który zechciał poprowadzić nasz Teatr Nowy.

„Audere auso“ — oto medal, jaki powinien otrzymać p. Korecki od Państwowego Instytutu Teatralnego. „Człowiekowi, który odważył się być odważnym“. Po dewastacji, od której mistrzem niezrównanym jest p. Trzciński, wielki ruinator i plajtmacher szeregu teatrów, po gwałtownym tajfunie amatorstwa, który widownię Nowego wyludnił do szczętu, trzeba mieć odwagę, aby ryzykować przełamanie uprzedzeń i zniechęcenia publiczności.

Jednak to nie jest prawdą, że teatr może prowadzić szmirę bezkarnie. Publiczność umie jednak zareagować właściwie i ogłosić bojkot . Szkoda tylko, że i dobry teatr — także bojkotuje. No, ale gdyby było inaczej, mniej byłoby zagadek na świecie — i mniej zdziwień. Czyli wszystko dzieje się poto, aby genjalny już i bez tego Chesterton miał rację.

Wracając jednak do Teatru Nowego, musimy stwierdzić, że pracuje solidnie. Zupełnie szczęśliwie i trafnie przygotowuje sobie liczny repertuar, zmieniając często sztuki. To właśnie, że smutnej pamięci p. T. Trzciński z wrodzonego sobie nieróbstwa ciagnął się premjerami jak (soit dit!) „obuwnik“ (nie obrażajmy szewców!) ze smołą, może najwięcej wypędziło publiczność.

Już raz kiedyś, gdzieś pisałem, iż w Poznaniu żyjemy w tej sytuacji z lat 1900-nych, o której tak barwnie pisze Kotarbiński; że premjerę trzeba było dawać co sobotę. Podobieństwo jest tem większe, że i teraz jak i wtedy, „publiczność od czasu do czasu **zapomina** przyjść na premjerę“.

Z braku miejsca nie mogę niestety omówić dotychczasowego wysiłku nowej dyrekcji. Poprzestać muszę na wyrażeniu jej najlepszych życzeń — i na ogólnikowem stwierdzeniu, że bardzo interesująco wystawiono „Dżunglę“ Maughama w adaptacji Fedora. Teatrowi Nowemu poświęcimy osobny feljeton w najbliższym numerze naszego tygodnika.

W Polskim idzie stary „Dzień bez kłamstwa“, w którym Maszyński popisuje się swoistą szarżą. Narazie jest to jeszcze bardzo urocze; przypuszczam, że ten przemiły i naprawdę czarujący artysta nigdy nie przekroczy tej granicy, do której szarża, jako pewna, specyficzna właściwość interpretacji, wypływająca z duchowości danego artysty, jest dopuszczalna. — Bo czem jest to przekroczenie granicy, mamy smutny przykład na Fertnerze. Fertner dziś niewiele już z artyzmem ma wspólnego.

Trudno nam ustalić opinję o wykonawcach i repertuarze Polskiego. Z tem trzeba zaczekać, dopóki nie zobaczymy jednej i drugiej sztuki w wykonaniu domowem. — Obowiązują przecież prawa gościnności, o których należy pamiętać. Jedno w każdym razie można stwierdzić z pewnością, znając ambicję obu dyrektorów, że zechcą nam pokazać — „najlepiej najlepsze“.

A choćby nas rozczarowali — to bardzo dobrze! Wtedy będzie się im należała podwójna wdzięczność.

Od Chestertona za to, że jeszcze raz sprawdzi się jego teorja o zdziwieniu. Od nas, publiczności, za najwyższe zadowolenie ze zdziwienia.

JAN MOTT.

Na przełaj

„Nieobecność w tem, co zwykle, jasne, proste, — lęk, przerażenie, nieodgadnione poczucie umykającego życia — zbakierowana płciowość — skojarzyły się i zetknęły się właśnie — czy raczej promotorem były —?—... —?—: klecenia wierszy".

Tak charakteryzuje się Srebrempisany Emil Zegadłowicz pisząc o sobie nietyle srebrem, ile fekaljami w swych „Z m o r a c h*)", cham-pion koprofagów, piewca, poeta, wieszcz, hymnista, laudator, adorator, panegirysta, wyznawca odbytnicy i — naprzeciw...

Ten ponury sabat jest do pewnego stopnia klasyczny. Mianowicie o tyle, o ile przypomina sposób, w jaki powstawały helleńskie wróżby.

— Siadała sobie taka dziewica apollińska (niby taka, którą Apollo p o c a ł o w a ł w czoło) na trójnogu nad pieczarą, skąd wydobywały się rozmaite, odurzające gazy. I potem wieszczyła.

— Siadł sobie taki starszejszy pan, dobrze odżywiony, o pulchnych policzkach, którego Apollo (belwederski) k o p n ą ł w czoło (uwaga! — „pod" czołem mózg się mieści!) na trójnogu nad kloaką, skąd wydobywały się rozmaite, odurzające gazy. I potem — wieszczył...

A że niewygodnie było, bo trójnóg wysoki, a nóżki zło-wieszczka krótkie w powietrzu dyndały, więc się zeźlił i wszystkich w kloace potopił. Wszystkich!

Oprócz siebie nie darował nikomu. Wszystko — księża, profesorzy, ciotki, wujkowie, babka, znajomi, znajome, koledzy — to sadyści, masochiści, hipochondrycy, geomanci, nekrofile, masturbanci, pederanci, paranoicy, koprofadzy, hipokryci — no i prostytutki. Brud, fekalja.

A wśród tego niesamowitego sabatu, on, Mikołaj, Nikus (Nike — zwycięstwo), trzepotał białemi skrzydełkami cherubinka czystą, nieskalaną bielą, wolną od zmazy, bielszą ponad ten śnieg beskidzki, bardziej wypraną z brudu, niż jego późniejsze poezje z talentu.

I choć tam „żydowskiego boga" nie uznawał, w djabła nie wierzył, ze spowiedzi sobie bimbał, był jako ten świątek z Korzenia Jurnego, on, „wędrowiec wietrzny", rzewliwe kolędziołki śpiewający.

To mu nie przeszkodziło, chociaż już wtedy żydowskiego boga nie uznaje i ninie nie uznaje, i małą literą dla większego aspektu, ku zgorszeniu Klechistanu pisze, w międzyczasie nietylko Boga, ale i świętych pańskich za pieniądze chwalić. A wszystko wielkiemi, wołowemi literami — i to nie pierwsze głoski tylko, nie, — ale całe słowo szło wersalikami.

Oczywiście płacili w św. Wojciechu klasa, to się Boga chwaliło, i Tęczę między wiernymi a niebem rozpinało. Redagował i zzegadłował ci ją — na amen! Zzegadłował, to znaczy zrobił tak nudną, jak to tylko jeden Zegadłowicz in universo potrafi.

To jest zastanawiające! Znam wielu ludzi, którzy nie mogę się wydziwić, że też ten Emilek, tak przyjemnie w towarzystwie rozmawiający — umiał być tak genjalnie nudnym, bezbarwnym, eunuchicznym, beztalentnym w swych wierszydłach.

Ani śladu oryginalności. Nawet interpunkcję szatnął sobie z Hiszpanji — te kreski i myślniki, okolone kropkami i pytajnikami — przed zdaniem. To jeszcze — i jedynie było ciekawe — jako intensywna propaganda alfabetu Morse'a.

A to (widać po „Zmorach") dlatego, że Zegadłowicz jako fabrykanciarz wierszy, i to fabrykanciarz — grosista — był nieporozumieniem. To jest prozaik! Tu ma temperament, werwę i zacięcie i rozmach i talent.

Ale talent — mają też np. rozpruwacze kas. Jest talent i talent.

Z tem wszystkiem jednak, z temi ogromnemi Beskidami brudu, które Zegadłowicz stworzył w „Zmorach" — nie jest to żaden demon. O, nie!

Tu przemówił — Jowialski „an sich", Jowialski w laczkach, który sobie snuł „takie myśli", aby sobie ulżyć w pewnem miejscu, przy pewnej, (co robić?) funkcji, od której nawet cesarz Abisynji nie jest wolny.

Przecież to kawał! Widzę, jak kilkudziesięcioletni fobuzek siedzi sobie i niby tem srebrem pisze. A co frywolniejszy zwrot, co większe świństwo odchodzi, uśmiecha się z satysfakcją: — Ale się będą wściekać! Ale się rzucą! Alem im dojechał! Ale będzie huczek. Huczek! O! — To jest powód. „Da ist der Hund begraben".

No bo jakto! Cztery lata temu jakaś praska czy wiedeńska gazeta pisała, że Emil Zegadłowicz to dziś najcudowniejszy poeta katolicki świata! To duch prostoty i pokory, duch ewangeliczny. Nawet do św. Franciszka z Assyżu go porównano. Nawet...

A od tego czasu nic! Zupełnie nic. Więc kopnął Poznań i sam postanowił zrobić huczek dokoła siebie swym listem Emilencji. — Pogadali trochę, ten i ów się oburzył. I znowu nic!

Straszne! Gotowi zapomnieć! Więc jeszcze jako dyrektor rozgłośni poznańskiej na prowincję jeździł i odczyty o śp. Marszałku wygłaszał. Może choć w Dzienniku Poznańskim pochwalą. — Ale gdzietam!

Więc jak się z Poznania wyniósł, to (kiedy wieś stała się modna!) zaczął wsiowe pismo redagować. Po św. Franciszku, po katoliku, po radjocie, po piłsudczyku — chłopa odstawiał, na prawo, lewo i przed siebie spluwał, w rękaw nos wycierał lub zgoła na podłogę smarkał.

Ale i to nic!

Tak przecież nie może być!

Toć Boy w tym czasie i Ksawercię znalazł i Mickiewicza odbronzował, i Mickiewicza otruł i poradnię uświadamiającą stawił i pederastję zalecił; toć Skiwski (też kolega od św. Wojciecha i dawny Dmowskiego i Wasilewskiego panegirysta po 15—20 groszy od wiersza) w tym czasie papieży spalił, chrześcijaństwo obalił i do katakumb zapędził. Toć nawet poczciwy Ułaszyn - Klechostraszyn nad ks. rektorem Cieszyńskim zemsty dokonał i na Placu Wolności w Poznaniu ognistemi rózgami go zgonił...

*) Emil Zegadłowicz: Zmory. Kronika z zamierzchłej przeszłości. F. Hoesick, Warszawa, MCMXXXVI.

A on, Emilencja Zegadłowicz — nic. Toć w tym czasie Edward Boyé „Skończonego Człowieka" Papini'ego przetłumaczył, i wszyscy się dziwili, że tak o sobie mógł włoski pisarz szczerze napisać — a on dotąd nic.

Więc też napisał. I z „Człowieka skończonego" siła skorzystał. Jednak czekanie opłaciło się! Bo przecież Giovanni Papini, jako chłopak, pragnął wielkie dzieła pisać, encyklopedję nową ułożyć, historję świata inną napisać — itd. to i Zegadłowicz też musiał chyba mieć takie zapędy. No i miał, bo opisuje, jak to jako uczniak o różnych dziełach marzył.

Reklamę więc Zegadłowicz ma. Szkoda tylko, że jeszcze trochę nie poczekał, bo teraz ludzie nie wiedzą, o kim mówić. Czy o „Zmorach", czy o „Przewodniku po beletrystyce" Cz. Lechickiego. Zaiste, trudny wybór.

My z całego serca życzymy Zegadłowiczowi wielkiej sławy. Że życzenia nasze są szczere, najlepszy dowód, iż napisaliśmy ten artykulasek. Jeszcze z 5 takich niech się ukaże, to „Zmory" cel osiągnęły. Ludzie zaczną je sobie wyrywać z rąk, a o Zegadłowiczu pójdzie fama!

A przecież tylko o to idzie Powsinodze z Korzenia Jurnego.

JAN MOTT.

Ano, więc mamy nowy rząd

Motto: „Ano, więc mamy silny rząd,
Takie nas wieści dochodzą
Z onej Warszawy, gdzie się wciąż
Cudowne grzyby rodzą."
Jan K a s p r o w i c z.

„Oczywiście może nietyle silny — co nowy — i znowuż nie tyle nowy — co nowe wino w starej beczce", jak pisał prof. Rybarski. A jednak ... A jednak jeden z tygodników warszawskich pisał:

„Ukonstytuowanie się nowych izb, gdzie na marszałków wybrano pp. Prystora (Princeps Senatus) i Cara, i zapowiedź utrzymania rządów p. Sławka dla wielu było rozczarowaniem. Rozczarowanie zupełnie nieuzasadnione. Gdyby obóz rządzący odniósł wielkie zwycięstwo w wyborach, mógłby zastanowić się nad zmianami. Po wyniku z 8 września dla każdego powinno było być jasnem, że żadne większe zmiany nie mogą nastąpić. C'est du prestige, messieurs!"

„Żadne większe zmiany nie mogą nastąpić" — a jednak nastąpiły i to jakby na ironję w dniu, w którym wspomniany tygodnik osięga swych czytelników. Popisywanie się znajomością psychologji zmian politycznych skończyło się żałośnie. Pomyłka nie ma jednak swego źródła w błędnem rozumowaniu, tylko w tem, że chciano do stosunków polskich przyłożyć kryterja normalne obowiązujące społeczeństwo. Tymczasem obywatel polski ma coraz mniej możliwości orjentowania się w tem, co się koło niego dzieje, brak mu bowiem wszelkich stałych punktów orjentacyjnych. To też świadomość polityczna pogrąża się w chaos, orjentuje się według plotek i czeka na zaskoczenie. Stąd niejednokrotnie o naszych stosunkach wewnętrznych lepiej poinformowana jest zagranica, streśćmy więc tu pokrótce to, co tam o „nowym" rządzie w Polsce napisano.

Prasa francuska tłumaczy zmianę rządu i objęcie stanowiska premjera przez p. Kościałkowskiego tem, że jedynym sukcesem w ostatnich wyborach mógł się popisać obecny prezes rady ministrów, a mianowicie na odcinku t. zw. ukraińskim.

Za moment znamienny uważa się obecność w rządzie p. Kwiatkowskiego. W związku z tem przypomina prasa francuska jego rolę w dawniejszych rządach, jego stosunek przyjacielski do osoby Prezydenta Rzeczypospolitej i związek względnie luźny z I. brygadą.

Znaczenie specjalne przypisuje się objęciu teki ministra przemysłu i handlu przez gen. Góreckiego, uchodzącego w kołach francuskich dzięki jego podróżom po Belgji i Francji za interpretatora sensu polskiej polityki zagranicznej ostatnich lat na tym gruncie. Łączy się też z osobą obecnego ministra przemysłu i handlu we Francji duże nadzieje, co do otwarcia się spokojniejszych perspektyw dla kapitału zagranicznego w Polsce. (Boussac'i mają nadzieję, że nikt ich nie będzie niepokoił). Również podkreśla się, że rząd obecny jest pierwszym po śmierci Marszałka Piłsudskiego.

Jeżeli chodzi o program na przyszłość, to przewiduje się ogólną tendencję, idącą w kierunku uspakajania umysłów. Premjer będzie je prowadził w dalszym ciągu na odcinku t. zw. ukraińskim. Los obecnego sejmu stoi pod znakiem zapytania. Mają być próby wyrównania tych zadrażnień, jakie wywołała ordynacja wyborcza. Rolę pacyfikacyjną ma spełniać także program gospodarczy, a mianowicie ma on iść w kierunku łagodzenia zbyt radykalnie stosowanej deflacji. To też polityka ta w tem oświetleniu będzie musiała wyrzec się w najbliższym czasie posunięć zbyt śmiałych.

Tyle prasa francuska. A angielska?...

Podkreśla się tu, że zmiana obecna rządu jest najważniejszą rekonstrukcją od czasów przewrotu majowego, dalej, że można mówić o pewnem przełamaniu „nieprzemakalnego" bloku rządzącego. Ustąpienie p. Sławka uważa się za rzecz zrozumiałą wobec klęski wyborczej. Prorokuje się również, że rząd będzie usiłował pchnąć naprzód odbudowę gospodarczą, zachowując daleko posuniętą ostrożność oraz stwierdza, że obecność w gabinecie p. Becka gwarantuje zachowanie dotychczasowej linji polityki zagranicznej.

Nowy rząd wystąpił z dwiema deklaracjami: premjera i wicepremjera. Deklaracje te w istocie swej są szukaniem kontaktu ze społeczeństwem. Na zasadnicze udręki moralne i gospodarcze dzisiejszego człowieka deklaracje te odpowiedzi nie dają. Sedno rzeczy nie zostało w nich dotknięte. To jest zasadnicze wrażenie, jakie się z nich odnosi. Nie można się więc dziwić, że doznały zupełnie zimnego w społeczeństwie przyjęcia. Oblicza szerokich mas nie są one w stanie rozjaśnić uśmiechem radości, co najwyżej zajmą one takie stanowisko, jak Kasprowicz, kiedy pisał:

„Dzisiaj, gdy Czas nowym światom
Naoścież otwiera wierzeje,
Trudno się nie śmiać serdecznie,
Patrząc, co w Polsce się dzieje."

Przyczynek do fabrykowania wielkości

Maxie Baer znokautowany!

Niewielu ludzi w Polsce obchodzi, kto zwyciężył w „State Bulding"?

Ilu widzów zdołało się tam dostać, a ilu czekało na ulicy?

Po ile dolarów płacono przekupniom za lożę i jaką sumę zarobili organizatorzy?

Kto został mistrzem świata wszechwag? — Kogo to w Polsce obchodzi?

Wzrusza to conajwyżej sportowców i poszukiwaczy ciekawostek.

A jednak karjerą byłego mistrza świata, popularnego „Maxie" Baera powinnismy się wszyscy bliżej zainteresować, pozwoli nam bowiem rzucić okiem na żydowskie metody fabrykowania „wielkich ludzi".

Minęły czasy, gdy wielkość mierzono jeno w dziedzinie dorobku naukowego, zasobności kasy czy artyzmu — słusznie czy nie, ale dziś wysoko się również ceni i tęgą pięść. Żydostwo wlot to zrozumiało — postanowiono, że obok Einsteinów, Rotszyldów i Rubinsteinów trzeba, aby „naród wybrany" miał i wielkości sportowe. Okazja nadarzyła się w osobie Baera.

Kto zna się cokolwiek na boksie, a miał okazję do obejrzenia filmu z walki o mistrzostwo świata pomiędzy Baerem a Carnerą, musiał spostrzec, że istotnie Baer był nieprzeciętnym bokserem. Miał cios i żelazny podbródek, umiał się ruszać na ringu, lecz nieprzeciętnego boksera od fenomena dzieli ogromny dystans — w samych Stanach Zjednoczonych jest conajmniej kilkudziesięciu nieprzeciętnych bokserów... Sama walka pomiędzy Carnerą, broniącym tytułu mistrza świata, a Baerem, o ten tytuł się ubiegającym, zdaje się, nie była „lewa" — Baer zdecydowanie górował nie tyle może technicznie, co psychicznie. Zwycięstwo było zasłużone.

Poprzedzone ono jednak było inną rozgrywką w filmowem studjo w czasie wspólnego nagrywania filmu. Już wówczas sprytny Baer nerwowo złamał poczciwego włoskiego olbrzyma — rozgrywka w ramach oficjalnej walki była jeno przypieczętowaniem poprzednio poniesionej i faktycznej porażki. Czy z tego tytułu można Baerowi robić zarzut? — Nie, istotnie „łamanie" Carnery w studjo nie było całkiem „fair", ale bokser musi być twardy nietylko w pięści, lecz przedewszystkiem nerwowo — Carnera sam był sobie winien. Tak czy inaczej Baer zwyciężył i przez to zwycięstwo żydostwo miało w rękach prymat we wszechświatowym boksie. Niema w tem nic ani niemożliwego, ani szczególnego — mógł się narodzić żyd o fenomenalnych zdolnościach do boksu. Był to jednak duży atut propagandowy i i żydostwo wykorzystało go w całej pełni. I to jednak nie byłoby jeszcze czemś nadzwyczajnem, gdyby naprawdę nie było tam niczego, poza wykorzystaniem faktu — żydostwo jednak fakt stworzyło — i to jest ciekawe.

Żadna walka o mistrzostwo świata nie była otoczona takim szumem, jak właśnie ta. Na wiele miesięcy przed spotkaniem rozreklamowano Baera. Zawczasu okrzyczano go jako ósmy cud świata. Tylko ta jedna walka została sfilmowana w całości i wyświetlana później na wszystkich ekranach świata. Po zwycięstwie cała prasa jak długo i szeroko rozwodziła się na temat owego zwycięstwa, aż wielu naiwnych uwierzyło w „niezwyciężonego" Baera. Gdyby to się działo jedynie w Ameryce, nie dziwiłoby to nikogo — reklamę robi się tam dla przyciągnięcia widzów na nowy mecz, dla podbicia zakładów, a to jak wiadomo stanowi choć poboczny, lecz największy dochód menażerów. Ale „dobrą prasę" robiło się Baerowi na całym świecie, film wyświetlało się wszędzie — słowem „fabrykowało się" wielkość Baera, tak samo jak genjusz tylu innych żydów.

Fachowcy doskonale wiedzieli, że jest to humbug. Baerowi daleko było do poziomu Carpentiera czy „Tiger-Jack'a" Dempseya, a nawet Al Browna — tamci byli istotnie ludźmi urodzonymi do walki, ring mieli we krwi i w nerwach — tu był typowy „fuks". Fachowcy to wiedzieli doskonale, podobnie jak inni fachowcy wiedzą, co wart jest Einstein, czy Aszkenazy, czy Wasserman, czy Szyk, czy ... Lopek Krukowski. Ale wiedzieli tylko fachowcy — tłum idzie za głosem reklamy, a narzędzia jej są w rękach „narodu wybranego". Takim „typowanym" na wielkości żydom robi się na całym świecie „dobrą prasę", filmuje się ich, obwozi, pokazuje i reklamuje przez siebie wiadomych ludzi tak długo, aż „opinja publiczna" jednogłośnie uzna ich chociażby nawet nieprzeciętne utalentowanie za wielkości.

W boksie jest cokolwiek gorzej — tu decyduje ostatecznie nie opinja, lecz rękawice i gong — i tu można wprawdzie kombinować — zdarzają się mecze „lewe", nie każdego jednak przeciwnika można do „robionej" walki zmusić, czy kupić...

Tytuł mistrza świata Baer stracił na rzecz Braddocka — weterana ringowego, któremu nikt nigdy mistrzostwa nie wróżył, boksera, jakich jest wielu. Stary, rutynowany, przeciętny rzemieślnik ringu „rozgryzał" runda po rundzie systematycznie i skutecznie, aż wykończył. Mecz z punktu widzenia sensacji był pierwszorzędny — tyle i tak długo krzyczano o fenomenalności Baera, że porażka jego z ręki Braddocka była czemś pozornie nadzwyczajnem, ale...

Ale aparat reklamowy milczał. Nie pokazano nam na ekranach kinowych, jak przegrywał „Maxie" Baer, nie zamieszczono tasiemcowych wywiadów ze zwycięzcą. Podano jedynie krótką wiadomość — w dziesięciu rundach na punkty zwyciężył Braddock, oczywiście zwycięstwo zupełnie przypadkowe. „Maxie" jeszcze się odegra, on jeszcze im wszystkim pokaże! Błyskawicznie rozegra kilka półfinałów, a potem zmasakruje śmiesznego, starego Braddocka!... I znowu od czasu do czynu wywiadzik z „Maxie" i jeszcze wciąż hymny pochwalne. Aż wreszcie nadszedł finał moment pierwszego spotkania półfinałowego. O Braddocku ani słowa, jak gdyby umarł — jakie ma zamiary, czy trenuje, w jakiej jest formie? Natomiast „Maxie" jest w formie wprost niebywałej — głupiego murzyna zje wraz z rękawicami!...

Jeżeli mecz Baera z Braddockiem był sensacją, to walka Baera — Luis stała się kompromitacją. Murzyn genjusza w szczytowej formie zmasakrował. To nie była walka, a trening na worku — workiem był „Maxie" — Luis robił z nim, co chciał. Cztery rundy — jatki i koniec — bezapelacyjne „ka-o"...

Trzeba przyznać, że Baer zachował się na ringu, jak należy: nie stchórzył, dał z siebie wszystko, co mógł dać, ale mógł bardzo niewiele...

Tak się wykończył „zrobiony" przez żydostwo bokser — bo tu jest bezapelacyjna rozgrywka, tu nie pomoga żadne wmawianie — interes jest czysty.

Kto „znokautuje" Szyka?

Tu niema „jupiterów", gongu i rękawic. Wielu zdaje sobie sprawę, że jego prace mają swój wdzięk i walory — tak jak Baer był niezgorszym bokserem, ale... Ale do niedościgłości i genjusza bardzo daleko. Jednak tu jest nie boks, a grafika — estetyka, dziedzina zawiła i nieuchwytna. Wielu ludziom jego kartony się nie podobają, lecz „dobra prasa" robi swoje — to jest robi genjusza..

Kto „znokautuje" Einsteina?

Wyższa matematyka i fizyka teoretyczna — dziedzina bardzo zawiła, jeszcze trudniejsza od grafiki — regjony dla przeciętnego śmiertelnika niedostępne. Wprawdzie fachowcy mocno kręcą głowami nad teorją Einsteina i twierdzą, że jeśli już mamy mówić o względności, to właśnie najbardziej względna jest wartość wywodów Einsteina, ale...

Ale „dobra prasa" robi swoje i choć przeciętny inteligent w wyższej matematyce ani be ani me, to jednak dorobkiem Einsteina mocno się zachwyca...

Kto „znokautuje" Eddi Cantora?

Kto „znokautuje" Wassermana i Remarque'a?

Kto „znokautuje" ...?

Niech wszędzie decyduje trudna do sfałszowania pięść.

KAZIMIERZ HAŁABURDA, Łódź.

Dom, który opustoszał...



W pierwszych dniach bm. umarł nagle śp. Konrad Hoffman, jeden z najwybitniejszych polskich artystów - fotografów młodego pokolenia, współpracownik licznych pism, oraz dobry i skromny, piękno miłujący człowiek.

Fotografika śp. Hoffmana znana była nietylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami, gdzie wystawiał w licznych europejskich salonach, zyskując stale jaknajzaszczytniejsze wyróżnienia. Często chwytał za pióro, dzieląc się z czytelnikami swoją wiedzą w zakresie fotografiki, której był wielkim znawcą. Wydrukował też w „Głosie" (nr. 4 z br.) ciekawy artykuł pt. „O współczesnej fotografice".

Umarł na posterunku w czasie dokonywania zdjęć filmowych w Gdyni. Pozostawił za sobą wielki żal.

Powyżej jedna z jego ostatnich fotografij „Dom, który opustoszał..."

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅙ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się.

Wydawca: Jan W y g a n o w s k i, Poznań. Redaktor naczelny: Mieczysław S u c h o c k i, Poznań. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.
Rękopisów nie zwraca się.